DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok I. — Poznań 10 września, 1888 r. — Nr. 26.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedplacicieli krajowych; dla Galicyi 5 zlr. rocznie, 1 zlr. 25 cent. ćwierćrocznie, z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciciele, odbierający „Dom polski“ w expedycyi, lub w redakcyi, płacą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w expedycyi, ulica Podgórna nr. 8 — lub w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, I. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko expedycya, lub redakcya. — Inseraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednołamowego. — Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcya.

WILLA ERLACH.

Powieść przez **Ossipa Schubina.**

Z języka niemieckiego tłomaczyła **A. P.**

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXVIII.

Zmieniło się tu bardzo, myśli Edgar Rohritz, stojąc w oknie swego pokoju w willi Erlach i spoglądając na śniegiem okrytą równinę. Przed tygodniem przybył do gościnnego domu Leskjewitzów, zaproszony, by wspólnie z nimi spędzić święta Bożego-narodzenia. Obecnie świąteczny gwar ustał; sowicie obdarzony Freddy już się oswoił z nowemi swemi skarbami, tak samo i dzieci wiejskie, którym Katty obfitą urządziła gwiazdkę. Olbrzymiej wielkości drzewko stoi jeszcze na korytarzu z resztkami złotych, papierowych łańcuchów i dopalonych świeczek, a w sali jadalnej poza ramami obrazów tkwią na pół uschnięte jodłowe i świerkowe gałązki — szczątki godowej szaty. Rohritzowi wielką sprawiało przyjemność módz na wsi spędzić ulubione Święta. Wszystko odbyło się wesoło i pomyślnie, ale pomimo to zaszły jakieś zmiany i dawny przyjemny pobyt w willi Erlach zmienił się bardzo, pomimo, że na pozor wszystko dawnym postępowało trybem. Państwo Leskjewitz przyjęli Edgara z możliwą serdecznością; rotmistrz jest jak dawniej wesoły i rozmowny — może nawet weselszy i rozmowniejszy, niż w lecie — ale za to z czoła Katty nie schodzi posępna jakaś chmurka.

Dawniej szydziła czasem z rozdrażnienia męża w wesoły, nieszkodliwy sposób, obecnie zaś pokrywa podobne zajścia obojętnem, jakby pogardliwem milczeniem. Nie przychodzi jej na myśl rozpocząć choćby najmniejszą sprzeczkę, widocznie niezadowoloną jest z niego, ale co Rohritza najbardziej dziwi, to ta okoliczność, że rotmistrz na postępowanie żony zdaje się nie zwracać uwagi.

Dziś w poufnej gawędce zapytał panią Leskjewitz, czy mąż zdecydował się stanowczo porzucić służbę i osiąść stale na wsi, jednem słowem, rozpocząć zawód gospodarza. Na to niewinne pytanie oczy Katty zabłysnęły gniewnie, rozdęła delikatne nozdrza i odparła z nietajonem oburzeniem:

— Zdaje się, gdyż nie chce nawet słyszeć o wstąpieniu do wojska; leniwa, wygodna exystencya właściciela wiejskiego więcej mu przypadła do smaku.

Rohritz milczy dyskretnie, Katty, podrażniona tą niemą uwagą, ciągnie dalej z ożywieniem:

— Już wiem, co pan chcesz powiedzieć, że to ja zostawiłam mu wybór między życiem rodzinnem a jego karyerą, a mój mąż jest jednym z tych ludzi, u których ciche, domowe pożycie przewyższa ambitną chęć wyższego urzędu i stanowiska! Cóż pan chcesz, dając mu do wyboru, myślałam, że, zostając obywatelem wiejskim, nie będzie istotą do niczego, tylko się zajmie we właściwy sposób, naprzykład polityką; sądziłam, że stan południowych naszych prowincyi daje dość obszerne pole do działania.

— Aa! odpowiada Rohritz przeciągle, więc to tego spodziewałaś się pani od Jana?

— Tak jest, woła Katty, ożywiając się coraz bardziej, tego po nim oczekiwałam i miałam słuszne powody, bo nie zbywa mu ani na zdolnościach, ani na innych środkach do tego potrzebnych.

— Zapewne, potwierdza Rohritz z powagą; Jan był uważany za jednego z najzdolniejszych i najdowcipniejszych oficerow w armii.

— I słusznie! Nie masz pan pojęcia, z jaką energią wypełniał swe obowiązki wojskowe. Czyś pan był kiedy w Węgrzech?

— Byłem, łaskawa pani, jako oficer stałem przez dwa lata z swymi żołnierzami w jednym z węgierskich miasteczek.

— Więc znasz pan tamtejsze upały; co do mnie, to oprócz wydania rozkazów kucharce do niczego już zdolna nie byłam, podczas kiedy Jan, wstawszy o godzinie czwartej rano, odbywał w tych stosunkowo chłodnych godzinach swoje konne wycieczki, a wśród dnia nie odpoczywał nawet na chwilę. Wiecznie miał jakieś rozkazy do otrzymania, to do wydania, losem każdego żołnierza, ba! nawet jego konia zajmował się gorąco. Od rana do wieczora był w ciągłym ruchu, podczas kiedy teraz nic prawie nie robi. Czasem przejedzie się sankami, sporządzi jaką zepsutą zabawkę Fredzia, do czego ma nadzwyczajny talent, czyta mdłe romanse i....

Rohritz nie ma czasu na odpowiedź, gdyż w tej chwili

dochodzi do salonu, w którym powyższa rozmowa się toczy, harmonijny odgłos licznych dzwonków, przytwierdzonych do fantastycznej uprzęży. Katty odwraca żywo głowę i szybko podchodzi do okna.

— Znowu, woła głośno na widok młodej i ładnej kobietki w obszernym futrze, która, gestykulując i rozmawiając głośno, przyjmuje przy wysiadaniu ramie nadbiegającego rotmistrza. Katty, doprowadzona do ostateczności, siada zachmurzona w fotelu, chcąc ukryć wrażenie, jakie na niej przybycie gościa zrobiło; Rohritz pod pozorem napisania koniecznego listu usuwa się do swego pokoju.

Ale nie po to przyszedł, nie otwiera nawet leżącej na stole *writing-desk*, tylko zamyślony stoi przy oknie, spoglądając na śnieżny kobierzec, zaściełający ziemię. Będąc dłuższy czas w mieście, zapomniał zupełnie, jak czystym i białym jest ten śnieg w pierwotnej swej postaci, przygląda mu się ciekawie, jakby ten widok był dla niego nowością. A jest też na co patrzeć, bo spadło go dużo, leży grubo na trawnikach, na kląbach, na krzewach, nawet na gałęziach starej, rozłożystej lipy.

Gdzieniegdzie tylko wychyla się bezlistna gałązka, a pnie drzew dzielą się na dwie połowy. Jedna strona okryta jest grubo śniegiem, z drugiej wygląda czarna, napół obumarła kora.

Myśli jego zwracają się teraz do niebawem mającego się rozegrać dramatu rodzinnego.

Żal mu szczerze Katty, chociaż przyznać musi, że główna tu jej wina. Te nieprzyjemności, o których mu mówiła, te drobne drażniące nieprzyjemności, które w pewnych okolicznościach zwiastunami wielkiego nieszczęścia być mogą, są wynikiem własnego jej postępowania.

— I ona jest jedną z tych istot, co ze szczęścia nie skorzystały, myśli z goryczą. Gdybyśmy je tylko we właściwej porze pochwycić umieli to szczęście naszego życia! Gdybyż ono samo powiedzieć nam chciało: Oto jestem, trzymaj mnie mocno! Ale to prawdziwe, to największe szczęście nie lubi się narzucać; skromnie i w milczeniu postępuje obok, ogrzewając i rozweselając swemi promieniami nasze życie, a my nie wiemy nawet, skąd to ciepło i ta radość pochodzi!...

ROZDZIAŁ XXIX.

Młoda kobieta, którą Leskjewitz tak skwapliwie ze sanek wysadzał, pozostała nietylko na śniadaniu, ale na obiedzie i podwieczorku, dając Rohritzowi sposobność dokładnego obserwowania swej osobistości.

Sąsiadka państwa Leskjewitz była córką jakiegoś wzbogaconego fabrykanta zapałek. Otrzymawszy bardzo powierzchowne wychowanie, a nie mogąc się oprzeć coraz większej namiętności do sportu, wyszła przed trzema laty za pewnego pana Ruprechta, nauczyciela konnej jazdy.

Przeżywszy niejedno przy boku swego małżonka, który był z kolei oficerem konnej jazdy, właścicielem cyrku w Ameryce, w końcu felietonistą jednego z dzienników wiedeńskich, zamieszkała niedawno stale w niewielkiej posiadłości, w sąsiedztwie Erlach, na przeciwnym brzegu Sawy leżącej. Nie żyjąc z mężem, który cały swój wolny czas jakiejś ładnej prowincyonalnej aktorce poświęcał, znaną była w okolicy pod nazwiskiem słomianej wdowy, z czego korzystając, sama dosyć swobodnie i samowolnie postępowała.

W innej okolicy, lub w mieście byłyby stosunki z podobną sąsiadką wprost niemożliwe, ale na wsi, a szczególniej jeszcze w deskami zabitym krańcu Karyntyi, gdzie ludzie pewne uchybienia łatwiej wybaczyć są zdolni, uchodziło to jeszcze.

— Nie potrzebuję zapewne dodawać, że nie jestem bynajmniej zazdrosną, zapewnia Katty, siedząc z Rohritzem w salonie, podczas kiedy słomiana wdówka, rotmistrz i Freddy grają w bilard w przyległym do salonu pokoju. Ale, prawdę powiedziawszy, nie pojmuję, jaką przyjemność towarzystwo tej ordynaryjnej i ograniczonej kokietki sprawiać może. Oburza mnie to niewypowiedzianie, bo w dodatku jest brzydka kompletnie.

Rohritz przyjmuje powyższą uwagę Katty w sposób, jak wszystkie inne tej podobne przyjmował, to jest grzecznem milczeniem i chwilowem zamyśleniem. Ordynaryjną i ograniczoną jest „słomiana wdówka,“ w tem najzupełniej podziela zdanie Katty, ale brzydką.... nie, stanowczo n i e! Ma olśniewająco białą płeć, pyszny biust i regularne rysy. Usta są wprawdzie trochę grube i przytem ma tłusty podbródek, ale wielkie, niebieskie oczy i śliczne, białe ząbki wynagradzają najzupełnie małe niedokładności.

Mówi najpospolitszym, wiedeńskim dyalektem, nie przeczytała w życiu ani jednej poważniejszej książki, perfumuje się w niedystyngowany sposób i ubiera bez gustu.

Ale za to powozi, jak najlepszy wiedeński dorożkarz, jeździ ze zręcznością dżokeja i posiada wiadomości ze sportu tak kompetentne, żeby się ich najpierwszy „trainer“ z profesyi nie powstydził chyba, zezwala w swej obecności na najgrubsze żarty Leskjewitza i jest zawsze gotową śmiać się z najdwuznaczniejszych jego dowcipów.

Rohritz czuje do niej na równi z Katty odrazę, jednakże pojmuje dobrze, dla czego Leskjewitz podoba sobie w jej towarzystwie.

ROZDZIAŁ XXX.

W kilka dni po wizycie słomianej wdówki otrzymał Rohritz gruby list z pocztowym stemplem z Paryża. Poznając pismo swej bratowej, otwiera go pospiesznie i czyta nie bez pewnego zajęcia, co następuje:

„Eh! bien, kochany Edgarze, j'éspère que vous serez content de moi!“ — Teresa ma zwyczaj przeplatać swoje listy do szwagra mieszaniną francuzkiego, niemieckiego i włoskiego języka. My jednakże, znając pedanteryą modnych purystów, podamy go czytelnikom naszym w jednym, języku, jakim rozporządać możemy. „Mam nadzieję, że będziesz zadowolony ze mnie! Wyznam Ci szczerze, o czem się zresztą z poprzednio do Ciebie wysłanej korespondencyjnej karty już dowiedziałeś, że prośba Twoja o uprzyjemnienie pobytu w Paryżu dwom Twoim rodaczkom nie bardzo mi przypadła do smaku. W rzeczy samej nie znam nic okropniejszego, jak ci polecani nam ziomkowie; począwszy od artystów, którym najmniej trzysta — o! to byłoby jeszcze bardzo względnie — biletów na koncert rozsprzedać trzeba i którzy potem, jeżeli ich się na jaki wieczor zaprosi, nawet najkrótszego mazurka Chopina zagrać nie raczą — skończywszy na baronównach Wolnickich, mających pretensye do wprowadzenia ich w tak zwany „świat“ paryzki, ponieważ w domu nie widują nikogo. Artyści są prawie niemożliwi, ale Wolniccy — o!... sto razy gorsi. Pod pewnym względem jednakże są bardzo do siebie podobni — a mianowicie, że się w końcu zawsze obrażą. Zaprosi się ich *en famille* — są niekontenci, gdyż sądzą, że się ich pokazać ludziom wstydzimy; zaprosi się ich na większe jakie zebranie, też się obrażą, ponieważ nikt na nich szczególniejszej nie zwraca uwagi. Koniec końcem zawsze im czegoś odmówić przyjdzie: geniuszom pożyczki tysiąca franków, o którą nas proszą, będąc już przeszło pięćset winni, a rodzinie Wolnickich zaproszenia na bal do ambassady, na który pójść mają ochotę. W rezultacie następuje obraza i przy spotkaniu na ulicy odwracają głowę i wykrzywiają usta....

Dopiero po długich namowach Twego brata Edmunda, którego wszystko, co austryackie, największem entuzyazmem przejąć jest w stanie, zdecydowałam się odwiedzić Twoje znajome, w hotelu *aux trois nègres* stojące

Sam hotel jest.... hm! bardzo skromny, ale sądzę, że *bien habité*, lepiej, niż się tego po paryzkim *garni* spodziewać można! Po trzeszczących, niczem nieokrytych, gładko polerowanych schodach wstępowałam na drugie piętro do apartamentu Meineckόw w ciągłej obawie, aby się czasem pod memi stopami nie załamały. Znalazłam się wreszcie u celu i po raz ostatni stanęły w mej wyobraźni postacie baronówien Wolnickich, przejmując wcale nierozkosznym dreszczem. Jan zadzwonił na moje skinienie, drzwi otwierają się... i wszystkie moje przesądy znikają od razu, jak niknie śnieg pod wpływem promieni wiosennego słońca.

Córkę tylko zastałam w domu i pokochałam się w niej od pierwszego wejrzenia, pokochałam do tego stopnia, że przed odejściem już ją nazywałam Stellą, a na pożegnanie serdecznie ją uściskałam. *C'est un charme!*

Nietylko cudownie piękna, ale w całej jej postaci przebija jakaś dziecięca prostota, idąca z najwyższą dystynkcyą w parze — połączenie, jakie tylko u Austryaczek znaleźć można. Widzisz więc, że umiem twoje rodaczki ocenić, jeżeli tylko na to zasługują.

Jej twarzyczka i urok całej postaci powinnyby opromieniać otoczenie, są, jakby na to stworzone — a jednak w spojrzeniu i uśmiechu Stelli jest coś smętnego — coś, co nawet moje serce wzruszyło. Postanowiłam sobie uszczęśliwić to dziecię, będę dla niej szukała szczęścia — i zobaczysz, że postawię na swojem. „*Ce que femme veut, Dieu le veut!*“ Jeżeli się czego podejmę, to sumiennie doprowadzę do skutku! Cóż powiesz na to, że, potrzebując trzech tygodni czasu, zanim się na tę wizytę zdobyłam, zaprosiłam panie Meineck na obiad, nie czekając ich poprzedniej u nas bytności. Znasz mnie przecież. Spędziliśmy bardzo przyjemnie wieczor *en famille*, ażeby się zapoznać lepiej. Baronowa Meineck była mniej excentryczną, jakby się po podobnej *bas bleu* spodziewać należało — w ciągu czterech godzin miała tylko dwa ataki nieprzytomności umysłu — a to przecież niewiele. *Quelle belle tête!* — Edmund, który w podobnych kwestyach uchodzi za znawcę, twierdzi, że musiała być wiele ładniejszą od córki. Wielki to dowód uznania, bo, mówiąc nawiasem, na równi ze mną się Stellą zachwyca — a przytem co za intelligencya widnieje z tego, siwemi włosami okolonego czoła! *Un puit de science!* Uosobienie żywej encyklopedyi!

Pomimo, że fason jej sukni już przed dwudziestu laty nie był zupełnie modnym, jest jednak wielką damą w całem tego słowa znaczeniu, a to przy ich podupadłych stosunkach ma także niemało wartości.

Jako matka, posiada pewne nieprzyjemne strony, jest oryginalną i trochę egoistką, zaniedbuje więc swoję śliczną córeczkę straszliwie. Cały wolny czas, który jej od literackich zajęć pozostaje, poświęca studyowaniu Paryża — i wiesz, na jaką myśl wpadła, aby te studya z możliwą dokładnością uprawiać?.... Oto jeździ parę godzin dziennie na galeryach omnibusów po najrozmaitszych ulicach stolicy.

Pomyśl tylko! — na galeryi omnibusów! Niedawno temu, gdy, wracając z Bonmarché, musiałam zatrzymać się na ulicy du Bac chwileczkę, chcąc zbytni natłok pojazdów i wozów odczekać, zobaczyłam ją siedzącą swobodnie na drewnianej ławeczce wysokiej galeryi. Ubrana była w czarne, aksamitne okrycie z popękanemi szwami i futrzanem obszyciem, którego połowę mole już dawno powygryzały. Na śmiesznie małych rączkach miała perlowego koloru rękawiczki, jakie przed dwudziestu laty jedynie przy ceremonialnych wizytach wkładano, czarny, słomkowy kapelusz i naturalnie bez mufki. Siedziała między dwoma robotnikami w niebieskich bluzach, z którymi żywą prowadziła rozmowę — wyglądała jak.... jak.... doprawdy, nie mam stosownego określenia na razie. W tej chwili deszcz zaczął padać, a że właśnie do omnibusu przeprzęgano konie, kazałam ją do swego powozu poprosić i odwiozłam do domu.

Pomyśl tylko — wielka pani, która omnibusem jeździ... To straszne, niemożebne — ale więcej nieprawdopodobnym zdaje się być zamiar młodej dziewczyny, chcącej zostać śpiewaczką — a jednak Stella postanowiła występować na scenie. Pomimo to stosunki moje z Meineckami są z każdym dniem ściślejsze. Posiadam dużo odwagi — nieprawdaż?

Biedna, biedna Stella! — lituję się nad nią serdecznie, ale nie mogę uwierzyć w tę karyerę! Ba! Stella Meineck śpiewaczką. *Mi fa ridere.* Sama nie wie, co mówi. Tymczasem zabroniłam jej surowo zwierzać się komukolwiek ze swych artystycznych zamiarów, które i tak do niczego nie doprowadzą. Mogłoby jej to zaszkodzić, a ja uroiłam sobie pewien plan co do mojej ślicznej protegowanej.

Pozwólcie mi tylko działać swobodnie *et lorsque je fais les choses, je les fais bien*; zanim sezon upłynie — Stella już będzie mężatką. — Wprawdzie wydać za mąż młodą dziewczynę bez majątku jest w ogóle rzeczą trudną, szczególniej w Paryżu, gdzie każdy mężczyzna ma naprzód określoną liczbę posagu, jakiej wymagać musi — ale *il faut se rabattre sur les occasions.* Stella jest miła, ładna, z dobrem nazwiskiem, które, nie pochodząc od krzyżowców, brzmi zawsze jeszcze ponętnie, aby zachęcić dorobkiewicza, który sam sobie fabrykuje szlachectwo, dopisując na końcu swego nazwiska nazwę nowo nabytej posiadłości.

Widzę już pogardliwe skrzywienie arystokratycznych Twoich ust na wzmiankę o tych pseudo-arystokratach, dla których nie miewasz zbytniego szacunku. Nie przyznaję Ci jednak słuszności; dla czego ten człowiek nie ma używać nazwy swego majątku, jeżeli ładniej brzmi od familijnego nazwiska? Nam zresztą jest przecież przyjemniej przedstawić go naszym znajomym, jako *monsieur de* Hauterive, niż jako *monsieur* Cabonat tylko. *Nous y sommes*! To właśnie tego *monsieur* Cabonat de Hauterive przeznaczam na męża dla Stelli. Jest bardzo bogaty, od młodości uczęszcza do najlepszych towarzystw, a od kilku lat uchodzi nawet za protegowanego wszystkich kobiet. Przytem jest muzykalny, a jego prywatna galerya obrazów należy do najcenniejszych w Paryżu. Wiekowi jego także nic nie ma do zarzucenia, skończył czterdzieści dwa lat — jednem słowem, jak gdyby dla Stelli stworzony.

W jesieni sam zwrócił się do mnie pół żartem, pół seryo z prośbą, abym mu stosowną żonę wyszukała, nadmieniając, że o majątek bynajmniej mu nie chodzi. Wtenczas potrzebował spoczynku i tęsknił za życiem rodzinnem, ale obecnie słyszę o nowym, niedawno zawartym stosunku z jedną z śpiewaczek tutajszych. Jeżeli tak jest rzeczywiście, to to strasznie krzyżuje wszystkie zamiary moje.

Na wszelki wypadek mam dla Stelli jeszcze dwóch *epouseurs* w zapasie: Anglika, liczącego czterdzieści pięć lat życia — z arystokratycznej rodziny, wprawdzie trochę *à la main gauche*, ale pomimo to wszędzie dobrze widzianego, z sześciu tysiącami funtów szterlingów rocznego dochodu. Z powodu przytępionego słuchu stroni trochę od ludzi, ale pomimo to posiada dobry, łatwy do prowadzenia charakter. W ostateczności pozostaje jeszcze bogaty Holenderczyk, któremu w Turcyi uszy obcięto, i z tego to powodu zmuszony jest czesać się w sposób, jaki za pierwszego konsulatu był w modzie — ale to są drobnostki.

Biedna, śliczna moja Stella! jakże chętnie złoży zmęczoną swą główkę pod własnym, spokojnym dachem. Zachodzi tu jednak pewna okoliczność, która mnie słusznie niepokoi. Cino poznał ją przed trzema laty w Wenecyi i dotąd szaleje prawie za nią. Czy mi się jednak uda przeszkodzić jego nadskakiwaniom i objawom tej miłości? Obawiam się okropnie, nie żeby się miał w obec niej czego niestosownego dopuścić, ale, że mógłby jej zawrócić głowę, a tem samem zniweczyć wszystkie moje plany. Mogłaby sobie zrobić niedorzeczne postanowienie wyjścia jedynie za mąż z miłości, a to byłoby w jej położeniu głupstwem nie do darowania. Podobne mrzonki nie dla niej; miłość jest zbytkiem w małżeństwie, na który sobie tylko bogaci, albo prości wyrobnicy pozwolić mogą.

Mais lorsque je fais les choses, je les fais bien! Przez dwa lata nie pisałam do Ciebie, ale, raz się wybrawszy, najmniej dwadzieścia stron nakreśliłam. Jeżeli masz, cierpliwość przeczytać ten list do końca, to proszę Cię bardzo na następujący ustęp szczególną zwrócić uwagę.

Zdecyduj się wreszcie nas odwiedzić; nowego naszego gniazdka nie znasz jeszcze, a ja oczekuję z niecierpliwością chwili, w krórej Ci je będę mogła pokazać. Na pierwszem piętrze tego szczupłego domku jest pokój, specyalnie dla Ciebie urządzony, bardzo milutki, a daję Ci słowo, że kominek nie dymi. Jeżeli jednak nie mógłbyś się zdecydować na zamieszkanie w naszym domu, to wskaż Edmundowi hotel, w którymbyś stanąć sobie życzył. W każdym razie przyjeżdżaj jak najprędzej, inaczej mogłabym sądzić,

że zawsze jeszcze chowasz do mnie urazę, że niegdyś powzięłam śmiały zamiar wyswatania Cię. Przyrzekam Ci święcie, że nie sprobuję już nigdy zarzucić mego *lasso* na Twoję niewinną głowę.

Serdeczne uściśnienia od wszystkich, *je me sauve*. Twoja bratowa Teresa Rohritz.

Po tym obszernym liście nadszedł jeszcze bilecik następującej treści:

Paryż, dnia 27 grudnia.

Co też za krótką pamięć posiadam! Ten list leżał cały tydzień na mojem biorku, nie mogąc się doczekać wysłania. *C'est de la vieille histoire à l'heure qu'il est*, ale pomimo to wysełam go, gdyż te kilka słów objaśnią Ci dokładnie sytuacyą. Od czasu, jak go napisałam, zaprosiłam Stellę i p. de Hauterive raz na obiad, a raz do naszej loży w operze. Oboje nie lubią Wagnera, a to już coś znaczy. Zresztą on znajduje ją zachwycającą, a ona jego dosyć przyjemnym — jest to wszystko, czego konwenansowe małżeństwo potrzebować może. Cała historya idzie jak po s nurku; jutro, albo pojutrze przyjdzie do zaręczyn. Co powiesz o sposobie przeprowadzania moich planów i o mojem *savoir faire*?

. . . .

On nic nie mówi!... Śmiertelnie blady drżącemi rękoma składa list, wrzucając go do otwartej szuflady. Zamyślony siedzi przed biórkiem z głową wspartą na ręku; dziwne jakieś uczucie opanowuje całą jego istotę, czuje zimne, przenikające dreszcze.

— To jest brak sumienia po prostu! woła, zrywając się nagle, i ja temu przeszkodzić muszę. Ale opanował się po chwili i na pozor spokojny patrzy przed siebie z ironicznym uśmiechem. On przeszkodzić?!.. I jakimże sposobem? Czy może na wzór bohatera jakiego dramatu ukaże się w chwili, kiedy do ołtarza przystępować będą i rozpaczliwem *veto* przerwie uroczystość? A jeżeli Stella sama chce tego, jeżeli chce żyć świetnie i bez troski przy boku niekochanego przez siebie człowieka, to cóż jego to obchodzi; nikt jej przecież nie zmusza.

W tej chwili otwierają się drzwi i z całą swobodą, jaką tylko dawna przyjaźń dać może, wchodzi Jan Leskjewitz do pokoju Rohritza.

— Czy nie chcesz przegrać ze mną partyi w bilard, za nim wyjadę? mówi, patrząc na zegarek.

Edgar przystaje z całą gotowością.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kilka słów o Gogolu i jego powieści.

(Ciąg dalszy.)

Dotąd Nordiew jest typem sangwinika, samochwała, lekkoducha, kłamcy, jakich i wpośród nas nie braknie, ale odtąd zaczynają się cechy czysto rosyjskie

Cziczikow zagadał o swym interesie, Nordiew natychmiast przewąchał nieczystą sprawę i postanowił sam coś zyskać także na niej. Pytaniami przyparł tak do muru gościa, iż ten mu prawie odkrył swoje plany. Rozpoczęły się oryginalne targi:

— Oddam ci dusze darmo, bo ktożby je sprzedawał?... ale kup ode mnie źrebca za 10,000, opuszczę cokolwiek z ceny, jaką dałem.

Cziczikow wymawia się od kupna, jak może.

— To kup szczenię za sto rubli, proponuje gospodarz znowu.

Gość tłomaczy się, że pies mu niepotrzebny.

— A więc kup chociaż katarynkę.

Trzeba wiedzieć, iż poprzednio Nordiew grał na niej i pokazało się, że była popsutą. A gdy i ta propozycya odrzuconą została, gospodarz chce bank założyć i postawić na kartę; lecz Cziczikow zrobił się ostrożny, wymawia się grzecznie, ale stanowczo, przewidując, czem to pachnie.

— A więc zagrajmy w szachy; jeśli ty wygrasz, dusze będą twoje, a jeśli ja wygram, dasz mi sto rubli!

Gość przystaje nakoniec; siadają, robią pierwsze pociągi, lecz Nordiew nieznacznie rękawem posunął aż trzy figury naraz, Cziczikow spostrzegłszy, o co chodzi, nie chce grać, zrzucając szachy z szachownicy. Wtedy powstaje kłótnia i „ruski czeławiek,“ wyzywając ostatniemi słowy gościa, przywołuje sługi, sam bierze cybuch i hejże na Soplicę! — Bijcie go! Bijcie go! krzyczy. Naprzód! — jakby chodziło o zdobycie fortecy. Cziczikow zasłonił się krzesłem, coby mu zapewne niewiele było pomogło, gdyby nie był w tejże chwili zajechał naczelnik żandarmów, przybyły po gospodarza, w innej sprawie pozwanego. Podobnego osobnika zapewne żaden naród nie wyda oprócz Rosyi.

Wymknąwszy się chyłkiem poza żandarmem, bohater Gogola udaje się do Sobakiewicza.

Nizki, gruby, niezgrabny, jak niedźwiedź, pomieszczik ten posiada grube instynkta zwierza leśnego. Budowle w jego wiosce są równie, jak sam dziedzic, ciężkie, niezgrabne, z grubych kloców zbite, sprzęty pokoju przypominają nawet kształtem swego pana.

Rozmowa zaczyna się o miejskich znajomych, lecz sądy Sobakiewicza są całkiem odmienne od sądów Maniłowa. Na słowa pochwały gościa gospodarz odpowiada:

— Tak wam się wydało tylko, to maszennik! Wszyscy oni maszenniki! Jeden prokurator cokolwiek lepszy, ale i ten św....!

W propozycyi kupna dusz zmarłych Sobakiewicz odgadł także nieczystą sprawę, ale nie męczy gościa pytaniami, targuje się tylko na zabój o cenę. Wymienia długo i szeroko zalety nieboszczyków, a uwag interesenta, że zalety owe dzisiaj nic nie znaczą u zmarłych, nie chce słyszeć i bardzo logicznie twierdzi:

— Potrzebne ci te nieboszczyki, kiedy chcesz je kupić, a zatem zapłać za nie.

Po długich targach kupiec nabył nareszcie swój towar po półtrzecia rubla za sztukę, a Sobakiewicz przyrzekł przyjechać do miasta N. i potwierdzić sprzedaż urzędownie. Gospodarz nie puścił gościa bez obiadu, przy którym wymyślał na kuchnie miejskie, na dziwne, zagraniczne potrawy.

— U mnie, mówi, jest barszcz i baranie żebra, lubię najeść się jedną potrawą, a jeść wiele.

Cziczikow, najadłszy się, pojechał do Pliuszkina, u którego, jak słyszał, miało wielu ludzi umrzeć z głodu.

Pliuszkin był to typ skończony skąpca-maniaka, jakie to typy wszędzie się pojawiają. W młodych latach słynny z rzędności i rozumnej oszczędności, na starość zdziwaczał. Spotkawszy go w podwórzu Cziczikow, wziął go za starą klucznicę, bo ani z ubrania, ani z twarzy nie mógł rozróżnić, czy to baba, czy mężczyzna.

Pliuszkin oświadczył, że pana nie ma w domu, ale, dowiedziawszy się, że gość za interesem przyjechał, poprosił go do pokoju, gdzie na nowe pytanie o pana, wyznał, iż sam nim jest. Przybyły rozpoczął od tego, że zapragnął poznać rosyjskich obywateli i złożyć im uszanowanie, na takie grzeczności usłyszał odpowiedź, iż goście są niepotrzebni, bo przeszkadzają gospodarzom w zajęciach, że lepiejby zrobili, gdyby w domu siedzieli i zajęli się swojemi sprawami. Wtedy Cziczikow rozpoczął interes o duszach; Pliuszkin uradował się, jak dziecko, usłyszawszy,

że nie będzie potrzebował podatków płacić od zmarłych, przystał natychmiast na sprzedaż nietylko nieboszczyków, ale i zbiegłych, których liczba była także niemała, bo ludność przed głodem uciekała w świat, a skąpiec żałował pieniędzy na poszukiwania sądowe. Wprawiony w najlepszy humor tak szczęśliwym interesem, powiedział, że nie może obiadem poczęstować gościa, bo już sam po obiedzie, a kuchnia zepsuta tak, iż gotować na niej nie można, kazał jednak samowar nastawić i przynieść ze śpiżarni jakiś stary suchar spleśniały, częstował nawet wódką, której dzieje opowiadał w ten sposób, iż przyrządziła ją niegdyś jego córka, gdy go odwiedzała, (uciekła z domu z huzarem), ale gospodyni nie przykryła jej korkiem, nalazło przeto pełno szczypaczek i much, on przecież wszystkie powyjmował i teraz wódka jest czysta. Cziczikow stracił naturalnie gust do napitku, który takie przygody spotkały, wymówił się zarazem od herbaty, z czego gospodarz był znów bardzo zadowolony.

Pokój skąpca zawalony był rzeczami bezużytecznemi, zbieranemi po śmietnikach: starem żelaztwem, podeszwami od znoszonego obuwia, sznurkami, wszystko to mogło się kiedyś przydać, a okryte grubo kurzem, leżało w kątach, na stołach, wszędzie. Powietrze, nigdy nieodświeżane, było zatęchłe, okropne. Obie strony rozstały się bardzo zadowolone; Cziczikow z kupna, Pliuszkin ze sprzedaży. Cziczików wrócił do miasta odpocząć i uporządkować spis dusz nabytych. Wkrótce przybyli też, dotrzymując słowa, Maniłow i Sobakiewicz dla podpisania kontraktu urzędownie, a Boczkorewa i Pliuszkin upoważnili kogoś za znajomych. W urzędzie nie było mowy o zmarłych, a zapytany Cziczikow, na co kupuje tyle dusz, odpowiedział, że na osiedlanie w gubernii hersońskiej, gdzie nabył liczne ziemie. Wieść ta rozbiegła się szybko i dała przybyszowi sławę milionera. Wszyscy przesadzali się teraz w gościnności, zapraszali, wydawali obiadki, wieczory, kobiety okazywały szczególne względy Cziczikowowi, lecz jak wszelkie powodzenia, oparte na fałszach, podobnie i to powodzenie niedługo potrwało. Najpierw Nordiew, spotkawszy bohatera dnia w pewnem towarzystwie, powiedział bez ogródki, że zakupione dusze były już nieboszczykami, a kupno jest szwindlem i niczem więcej. Na tymże balu Cziczikow, zaziębiwszy się, dostał zapalenia gardła i musiał położyć się do łóżka, nie przeczuwając wcale, że losy jego w owej chwili ważyły się. Dziwiło go tylko, że nikt nie przychodzi go odwiedzić, zapytać o jego zdrowie. Tymczasem Boczkorewa niespokojna, czy nie zbyt tanio sprzedała nieboszczyków swoich, wybrała się także do miasta rozpytać, w jakiej cenie są dusze zmarłych. Słowa jej wraz z tem, co mówił Nordiew, wytworzyły dziwną w mieście plotkę, której nikt zrozumieć nie mógł, ale która naprowadziła na myśl, że owo kupno jest tylko pokrywką dla szpiegostwa. Na złodziejach czapka gore, urzędnicy przestraszyli się nie na żart, gdy jednocześnie przyszła wiadomość, że nowy gubernator ma być przysłany.

Cziczikow, nic nie wiedząc o wszystkiem, co zaszło, po wyzdrowieniu poszedł z wizytą do gubernatora, ale tam mu szwajcar powiedział, że ma zakaz wpuszczania go. Zdziwiony wielce Cziczikow, poszedł gdzieindziej, ale i tam go nie przyjęto, a ci, co go na ulicy spotykali, okazywali jakieś pomieszanie i szybko odchodzili. Zgryziony powrócił do mieszkania i gubił się w domysłach, coby to wszystko znaczyć miało, gdy Nordiew wszedł bez ceremonii, a przywitawszy Cziczikowa po przyjacielsku, kazał sobie podać herbatę, fajkę i wreszcie opowiedział, jakie zaszły okoliczności i jakie plotki powstały w mieście.

Cziczikow, wysłuchawszy wszystkiego, zrozumiał, że już nie ma co robić w N. i postanowił opuścić je natychmiast. Kazał zaprządz swą trójkę i odjechał.

(Dokończenie nastąpi.)

WYSPA GOTLAND.

Obrazek z podróży

ułożył

hrabia Wawrzyniec Benzelstjerna Engeström.

(Ciąg dalszy.)

Obiegliśmy prastare mury — rzucili okiem na całość — poruszyli wspomnienia — kilka na prędce legend i baśni ze starych łomów wydobywając — i stoimy teraz w poważnej i uroczystej drużynie ruin kościelnych, które na pierwszym planie obrazu, jakby balladą dziejów, miasto umarłych nam przedstawiają. Olbrzymich ruin szkielety przedstawiają nam w tej chwili jedenaście świątyń poważnych, z których niejedna, jakby niedokończona katedra, widzeniem wstaje. Świątynie Pańskie, wyniosłem czołem zwrócone ku niebu, jakoby w górze tam pytać chciały, ażali Bóg nie zamieszka w ich łonie znowu, ażali nie natchnie, nie wzbudzi sługi dawne, nie wzniesie się ręka ludzka, by słowo i służbę Bożą znów przed ołtarze te wprowadziła.

Jedenaście szkieletów wiekowych, jedenaście poważnych kościołów opuszczonych, umarłych, i jedna żywa, służbie zachowana Bożej, prastara *Maryacka* świątynia — dzisiejsza katedra! — Zanim przestąpimy z kolei te zapadłe progi, zwiedzając domy Boże, i zanim poczniemy takim archeologicznym pochodem wydobywać legendę — zarysować się godzi całość, zestawiając wyobrażenie ogólne tego historycznego wieńca średniowiecznej powieści naszej.

Przed nami stoi dzisiejsza katedra, kościół *Panny Maryi* — kościołem *niemieckim* niegdyś nazwany, stary, przebudowywany kilkakroć, zabytek dwunastego stulecia. Wokoło katedry, jakby duchownym orszakiem *Przenajświętszej Dziewicy*, wznoszą się świątyń poważne szkielety.

Poza murami miasta, na odrębnej wyżynie, na straży grodu poważny stoi St. Góran — kościół i klasztor *św. Jerzego, szpitalnym* zwany — niewyleczonych i zaraźliwych schronienie.

Wokoło *Panny Maryi:* wielka świątynia i klasztor *dominikański*, imponujący budową swoją, *św. Mikołaj*, poza nim *św. Gertruda*, kościół kupców *holenderskich;* kościół *św. Olofa*, roku 1100 zbudowana świątynia wotywna króla *duńskiego Eryka Eygoda*, który z małżonką i dworem wschodnio-północnym szlakiem na *Wysby* i *Nowogrod* do *ziemi świętej* się wybierając, stannicę tu swoję uświęcił.

Dalej kościół *św. Ducha*, wewnętrznym, szpitalnym zwany, dwupiętrowy, dwoisty, ośmiokątny kościół oryginalnej budowy — ciekawość architektoniczna w całem znaczeniu tego wyrazu. Po innej znów stronie kościół *marynarski*, prześliczny *św. Klemens*, dalej *św. Dorota*, klasztor sióstr północnych, początkowo kościołem *Pana naszego* nazwany. Tuż za nią, najwyżej ku niebu wyniosłem wybiegająca czołem, olbrzymia i przejmująca dziś jeszcze powagą i pięknem *św. Karina*, zadziwiających rozmiarów i czarującej budowy kolosalna ruina, kościół *pofranciszkański* pod *św. Katarzyny* nazwaniem, najwspanialszy może architektoniczny zabytek północy. Indziej znowu ruina *św. Jana* i *św. Wawrzyniec.*

Poza tym poważnym i strojnym wieńcem dziś istniejących ruin, które tak charakterystycznie stroją wybrzeże, wznosiły się inne jeszcze; nie zostawiły śladu i cieniem już tylko wspomnień dalekich, duchowem widzeniem fantastycznego dopełniają obrazu, wśród którego dawnemi laty wznosiły się tutaj jeszcze kościoły: *Mały szpitalny*, kościół *liflandzki św. Jakuba*, kościół *grecki* kupców nowogrodzkich, *ruskim* nazwany, *św. Piotr*, najstarsza świątynia *Gotlandyi*, w murach pogańskiej poświęcona kontyny, kościół *św. Michała*, kościół *zamkowy Wyborg* i stary klasztor *Cystersów Solberg.*

Dziewiętnaście kościołów w *Wysby*, z których jedenaście strojną ruiną, a siedm cieniem już tylko wspomnienia!

Wszystkie te w ruinę dziś przekształcone świątynie, równie jak utrzymana dotąd św. Marya, należą do najstarszych zabytków budownictwa średniowiecznego i wszystkie niemal w zarodku, widocznie *romańskim* stylem nacechowane, znamionują nam wyraźnie wiek XI i początek XII stulecia. Śledząc te kościoły uważnie, widzimy, że przechodziły z kolei *romańską epoką przejściową*, z okrągłej w ostrołukowy styl panujący, w drugiej połowie XII wieku. We wszystkich widoczne są zmiany w zarysach źródłowego planu wedle pojęć rozwijającego się budownictwa i tak np. kościół *Panny Maryi* — według świadectwa kronik — początkowo w stylu okrągłołukowym, bardzo skromny, w bogate się ostrołuki przebiera. *Św. Katarzyna*, mająca odrzwia okrągłe, przerabia prawie wszystkie okna w ostrołuk, sklepienia dźwigają skromne ośmiokątne filary, których kapitele w gotyckie łuki i ozdoby się rozpływają. Chór zaś cały, w roku 1412 przebudowany, charakterystykę późniejszą wieku wskazuje. Taka mieszanina stylów i przejściowe zmiany architektury na większą i mniejszą skalę, widoczne wszędzie dla znawcy badacza, ciekawe tutaj na każdym kroku przedstawiają studyum, charakter wschodu z zachodem w jednym obrazie łącząc. Widzimy wszędzie na przemian ślady starego i początkowego, późniejszego budownictwa germańskiego ideę, styl bizantyński, przejściowy i gotycki, a jakby na dopełnienie całości w przerobionym *Maryackim* kościele w niektórych częściach charakter stylu *odrodzenia* widoczny. Wszystkiego mamy tutaj potrosze, formy prawdziwej bazyliki, to plan krzyżowy, krótkie i grube słupy pierwotne, przy których wysoko i zgrabnie wybiegające w górę filary, zaledwie z grubszego ociosane, ciężkie i bezozdobne kontury miękkich i fantastycznych kształtów roślin, zwierząt i arabesków wszelkiego rodzaju.

Oryginalna ta i rzadko tak charakterystycznie złożona i widziana mieszanina stylów jest zarazem obrazową historyą *Gotlandyi*, jej dziejowego wzrostu rozwoju i upadku. Ciekawa to księga, kto w niej czytać umie.

Rozpatrując się w tych kamiennych kronikach, poznajemy łatwo, że *Gotlandya* w średnich wiekach, około 1100 do 1200 r., była ową stannicą wielkiego szlaku handlowego, który pomiędzy wschodem i zachodem tak bardzo był ożywiony, i występują zaraz w pamięci całe rzesze wędrowne bogatych kupców, rzesze pielgrzymów dalekich, biskupów możnych, otoczonych dworem poważnym, pochody królów i książąt, które z północy wschodu do *Ziemi świętej* tam przechodziły, Bogu na chwałę stawiając święte ofiary.

Spojrzawszy na ten obraz przeszłości w ruinie, który żyjącą dziś okolony zielenią, wieńcami bluszczów i krzewów opięty, przejmuje on nas rzewnem poszanowaniem, z jakiem ongi w roku 1744 uczony badacz i myśliciel północny, biskup *Goran Wallin*, spoglądając na te pomniki przeszłości, o *Wysby* się wyraził: „Świeci królową morza w wybrzeżu — matka żeglarzy północnych — i na dziejowym tronie z północy w południe — ze wschodu na zachód — liczy wspomnieniem żagli tysiące — któremi kierował się duch potężny, przed którego majestatem i zagrobowem widzeniem kornie skłaniają się pokolenia.“

Z takiem uczuciem głębokiego poszanowania po tym historycznym cmentarzu przeszłości wśród ruin i grodów stąpając, pochód niniejszy od tronu *Maryi* — od kościoła *Najświętszej Panny Gotlandzkiej* rozpoczynamy.

Dzisiajsza katedra, odnowiona i, niestety! zwłaszcza w wieżycy swojej niesmaczną restauracyą nowoczesną zeszpecona bardzo, jest mimo to budową imponującą i dla oka znawcy, pod względem badań archeologicznych i architektonicznych, bardzo nawet ciekawą. Kościół ten wedle wyrażenia kroniki „*konstrukta per manus Teutonicorum*“ zbudowany był ręką Niemców w roku 1100 przez stowarzyszenie kupców *Lubeckich*. Otwarto i poświęcono go później w roku 1210, 6 sierpnia, jako wykończony ostatecznie z wielką uroczystością pod przewodnictwem *Benkta biskupa z Linkoping*, który zjechał tu z wielkim dworem. Świątynia ta niemiecka uposażona była bardzo bogato i opatrzona przywilejami papieskiemi. Tylko Niemcom pochodzenia *Lubeckiego* wolno tu było groby sobie budować, zmarłych swoich chowając. Była to początkowo czysto *Bizantyńska* budowa kamienna, ale już w ciągu wiekowej pracy zmieniano jej styl zasadniczy i w ostrołuki budując, wykończono ją raczej gotycką mieszaniną, z Bazyliki w kościoł stylu germańskiego przechodząc. Wnętrze trzyłukowej nawy jest śmiałe i imponujące, zwłaszcza nawa środkowa, z wyniesionym nad poziom *sanctissimum*, robi wrażenie pierwszorzędnej katedry, którąby każda z naszych europejskich stolic dumną być mogła. Jest to gmach prawdziwie wspaniały, niespełna 5000 łokci kwadratowych obszaru, 88 łokci szwedzkich dług., 37 szerok. Wszędzie równie w sklepieniach, filarach i architektonicznych ozdobach mieszanina stylu najrozmaitsza, podług której możnaby prawie oznaczyć i śledzić lata, w których budowa się rozrastała, wskazując, co w którym czasie poczęte i dokonane. W obszerne szczegóły nie możemy się tutaj zagłębiać, przekroczyłyby bowiem o wiele cel i zakres tego pobieżnego opisu, w ściślej naukowe nas sprowadzając badania.

Zaznaczę tu mimochodem tylko kilka ciekawszych szczegółów, których i w pobieżnym obrazku pominąć się nie godzi. Do takich należą portyki od strony wschodniej i południowej, których wejście, ubrane przepyszną kolumnadą z polerowanego marmuru, stanowi pełne artyzmu zagłębienie perspektywiczne, okrągłołukowe. Po każdej stronie 3 kolumny i cztery filary *bas relief* przedstawiają całość prawdziwie piękną i artystycznie scharakteryzowaną. Zeszpecono bardzo jedno z tych wejść, tak pięknie obmyślonych, zakrywając je w roku 1769 przybudowaniem kaplicy jakiegoś bractwa, która bardzo zeszpeciła kościoł i niemiłe robi wrażenie. Nadzwyczajnie natomiast piękną i imponującą jest przybudowana od strony południowej w roku 1300 wielka, czysto gotycka kaplica, której struktura prawdziwem jest arcydziełem. Akustyka w tej kaplicy jest zadziwiająca i zwraca tu powszechną uwagę. — Ozdoby, rzeźby kamienne i marmurowe są dziełami sztuki, o którychby bardzo szeroko rozpisywać się można; tyle tam rysunku i fantazyi, tyle pomysłów oryginalnych, iż trudno się stąd oderwać zachwyconemu oku. A stokroć była piękniejszą jeszcze, o czem dawne rysunki i opisy nas przekonują. Figury świętych apostołów, biskupów i wyznawców, rzeźbione dłutem mistrzów, były słynną ozdobą tego artystycznego przybytku, tworząc rodzaj żywego baldachimu ponad ołtarzem i ponad wejściem. W czasie zwycięztwa protestantyzmu zniszczono i usunięto te arcydzieła w początkach XVI wieku. Nauka *Lutra*, równie tutaj jak w całym świecie, ideą tak zwanego racyonalizmu, zdzierając z serca i ducha ciepłą fantazyą, a cały wyższy ustrój wzniosłego pojęcia religijnego, oziębiając serce i ducha ludzkiego — zeszpeciła domy Boże — na podobieństwo swoje — z piękna i ciepła duchowego ogałacając, w puste i zimne zamieniwszy modlnice.

Kościół *Maryacki*, jako symbolem *Trójcy Świętej*, trzema jest ozdobiony wieżami. Od wschodu wznosi się kwadratowa wieżyca na 70 łokci szwedzkich (100 naszych) wysoka. Wieża ta ozdobiona jest pięknemi, okrągło łukowemi oknami, w środku których się odznaczają marmurowe kolumny. — Wieża ta była wyższa i bardzo okazała, ale gdy kościół kilkakrotnym pożarem popadł w ruinę, w roku 1746 przebudowana, straciła wiele na piękności i powadze. — Dzisiejszy pękaty szczyt latarniowy w rodzaju pretensyonalnej altany, okolonej balustradą, ani charakterowi kościoła, ani zasadom pojęć estetycznych nie odpowiada.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Wydawnictwa wielkopolskie

(Ciąg dalszy.)

— **Dzieje Narodu Polskiego** dla ludu i młodzieży. Poznań. Nakł. księgarni J. K. Żupańskiego 1888.

Jest to już w krótkim stosunkowo czasie szóste wydanie doskonałej tej książeczki, co samo, bez wszelkiej ze strony sprawozdawcy pochwały, przemawia za nią najwymowniej. Pośród streszczonych dziejów naszych od ich początku aż do wstąpienia na tron Stanisława Augusta, a streszczonych umiejętnie w ten sposób, że nie pominięto żadnego doniośliejszego znaczenia faktu, znajdujemy w książce p. Chociszewskiego rozdziały, obejmujące już to osobne życiorysy, lub wspomnienia o wybitniejszych polskich postaciach, jak: o świętym Stanisławie Szczepanowskim, Mikołaju Koperniku, kardynale Hozyuszu, Janie Zamojskim, Annie Jagiellonce, o Żółkiewskim, Chodkiewiczu, Czarnieckim, o Konarskim i braciach Załuskich i t. p. już też traktujące o najważniejszych w dziejach naszych kwestyach, jak: o sztuce wojskowej w drugim okresie historyi polskiej, o szlachcie i znakach herbowych, o mieszczaństwie i włościanach i o życiu domowem naszych przodków w okresie czwartym, o unii kościoła ruskiego w Brześciu, o koronacyi królów polskich, wiadomości o koronie polskiej, o klejnotach koronnych, o herbach Polski itd. — Książka p. Chociszewskiego, zawierająca nadto kilkadziesiąt rycin i mapkę Polski z XVI wieku, jest ze wszech miar godną polecenia, to też w ręku ludu, młodzieży i wszystkich, którzy dziejów narodu swojego dokładnie nie znają, a poznać pragną, koniecznie znajdować się powinna. Jak się dowiadujemy, uzupełnieniem jej, albo raczej dalszym ciągiem będzie: „Zarys dziejów Polski porozbiorowej“ z licznemi rycinami i dodaniem ważniejszych wiadomości z literateratury polskiej i geografii. Książka ta wyjdzie jeszcze końcem bieżącego roku.

— **Mała Historya Polska** tegoż autora. Wydanie czwarte, znacznie poprawione, pomnożone i obrazkami ozdobione. Poznań u Jarosława Leitgebra 1888 — Równie dobra, jak poprzednia, tylko nie tak obszerna i dla młodszych dzieci, albo dla mniej czasu mających czytelników przeznaczona książeczka. Zwracamy uwagę na — obok dziejów krótko prozą opowiedzianych — całą historyą naszę, ułożoną wierszem przez znaną wielkopolską matronę św. p. z Łubieńskich Morawską z Oporowa, dalej na króciutkie życiorysy bohaterów, świętych i uczonych Polski.

— **Bojomir** czyli zaprowadzenie chrześciaństwa w Łużycach. Powieść dla ludu polskiego i doroślejszej młodzieży Z dodaniem krótkiej wiadomości o Serbach Łużyczanach. Przez J. Chociszewskiego. Poznań, nakł. i drukiem Fr. Chocieszyńskiego 1888.

Pierwsza część tej książki zawiera, jak sam tytuł powiada, powieść z czasów zaprowadzenia chrześciaństwa w Łużycach, a jest to powieść wielce pouczająca i zajmująco napisana. Autor postanowił wykazaniem w niej okropnych skutków niezgody zachęcić do jedności i łączności wszystkie stany w narodzie, oraz obudzić w czytelnikach miłość do pobratymców; postanowił dalej przedstawić wzniosłe przykłady miłości synowskiej i trudniejszej ponad wszystko miłości nieprzyjacioł. Z zadania tego wywiązał się autor bardzo szczęśliwie, mamy zatem nadzieję, że powieść jego chętnych znajdzie czytelników, że ci, którzy mają obowiązek ciemniejszych i młodszych oświecać, postarają się o rozpowszechnienie „Bojomira.“

Druga część książki jest historyczną, zawiera także opisy obyczajów, zwyczajów i obrządków serbsko-łużyckich, nieco wiadomości o literaturze łużyckiej i kilka przekładów niektórych serbskich poezyi. W końcu książki pomieścił autor życiorysy dwóch współczesnych, najwybitniejszych i najzasłużeńszych mężów serbsko-łużyckich, a mianowicie zmarłego przed czterema laty Jana Ernesta Smolera i żyjącego dotąd księdza Michała Hórnika, współpracownika wielu pism słowiańskich i niemieckich. Jemu także zawdzięcza autor niniejszej książki pomoc i dostarczenie różnych źródeł do napisania swojego dziełka.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Jak żywić dzieci,

napisał

Dr. Józef Koszutski.

(Ciąg dalszy. — Zob. Nr. 25.)

Jeżeli mleko matki, lub żywicielki jest żyzne i służy niemowlęciu, to ono wystarczy mu samo bez dodatkowych pokarmów aż do 6, a nawet 8 miesiąca, albo do pokazania się dwóch, lub czterech ząbków przednich. Od tej pory rozpocząć się może i winna zmiana w sposobie żywienia i wybranie stosownej pożywki.

Wątłą budową ciała wyposażone, powoli się rozwijające i słabowite niemowlęta, u których ząbki później się pojawiają, wypada karmić samą piersią dłużej, niż dzieci zdrowe, silne i dobrze rozwinięte.

Gdyby ząbkowanie aż do końca roku wcale nie nastąpiło, natenczas odłączenia takiego niemowlęcia bezzwłocznie dokonać trzeba, gdyż, śledząc pilnie po całym ustroju, wykrycie objawów krzywicy (rachitis) u niego nie będzie trudnem.

Najkorzystniej rozwijają się te piersią karmione niemowlęta, które, mając już przy skończonem półroczu dwa lub cztery ząbki, w siódmym miesiącu raz, w następnych po dwa i trzy razy dziennie inne jeszcze dostają pokarmy, lub pożywki, przez co je się powoli do przyszłego sposobu żywienia przygotowuje.

Nierozważne, lub uparte matki, karmiące piersią swe dzieci w ciągu drugiego roku ich życia, z wykluczeniem wszelkiej innej żywności, nietylko że nie uzyskają korzystniejszego, cielesnego i umysłowego tych drogich im istot rozwoju i przeciwnie krzywicy (rachitis), niedokrewności i wątłości całego ich ustroju stają się powodem, ale co gorsza, same ulegają zwykle następnie groźnym, nieuleczalnym chorobom płuc, sił wycieńczeniu, rozstrojeniu nerwów i t. p. cierpieniom.

„Tylko wtenczas karmienie piersią jest pożyteczne i działa pomyślnie, gdy odpowiada potrzebom i siłom organizmu dziecinnego,“ twierdzi słusznie Kosmowski*)

Odłączenie niemowlęcia od piersi nie ma tedy, jak już wspomnieliśmy, nastąpić nagle, lecz powoli, w przeciągu kilku miesięcy, w którym to czasie podawać mu winniśmy, i to w tych godzinach, gdy ssać miało, dobre mleko krowie, odpowiednio gotowane, rosołek z gołębia, kurczęcia, lub cielęciny, bez korzeni przyrządzony, najprzód raz dziennie, potem dwa i trzy. Karmienie piersią odbywać się powinno i to już krótko przed odłączeniem przynajmniej z rana na czczo i wieczorem przed snem niemowlęcia.

Dzieciom skłonnym do niepokoju w przewodzie pokarmowym, niedostatecznie odżywionym, a nawet takim, które rosołu dostawać nie mogą, polecamy mąkę Neavego w mleku, jak to powyżej wykazano, gotowaną. Polewkę tę podawać można raz, lub dwa razy dziennie tak długo, dopóki ją w ogóle dzieci chętnie przyjmować będą i to z dołączeniem raz soli lub cukru, innym razem z małą ilością czoko-

*) Op. cit. strona 145.

lady, lub pozbawionego tłuszczu kakaowego proszku, dodanych pod koniec owego długiego gotowania. Dzieciom w ogóle nie przykrzą się pokarmy tak łatwo, jak osobom dorosłym. Nie dla tego dziecię je i pije, aby drażnić podniebienie i dogodzić nerwom smaku, lecz przeważnie, gdy ma zaspokoić głód swój, lub pragnienie.

Przez owo powolne i rozważne przygotowanie do odłączenia niemowlęcia od piersi, uzyskamy to, iż narzędzia trawienia jego zniosą tę pracę i spełnią poruczone im zadanie bez szkody dla całego ustroju.

Dr. Sawicki*) słusznie potępia zwyczaj karmicielek, „które, chcąc prędko odłączyć dziecko od piersi, odsełają je do sąsiadek, żeby odwykło od piersi. Jest to bardzo zły zwyczaj, bo nietylko pozbawia dzieci pokarmu, lecz i pielęgnowania, do którego przywykło, a przez to szkodzi się i dziecinnemu i własnemu zdrowiu.“

Gdy dziecko już przyzwyczaiło się do innych pokarmów, to dla ostatecznego obrzydzenia mu piersi można brodawkę posypać chininą, sproszkowanym aloesem, lub też pomazać małą ilością musztardy nie zbyt ostrej, a cel natenczas szybko osiągniętym zostanie.

(Ciąg dalszy nastąpi).

*) Dr. Jan Stella Sawicki op. cit. strona 109.

Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

W ostatnim czasie mnóstwo tak ulotnych fragmentow, jak noweli, powieści i opisów zostało z języka polskiego na obce języki przetłomaczonych.

Do ważniejszych tego rodzaju przekładów zaliczyć można p. Elizy Orzeszkowej: „Pierwotni,“ powieść, zamieszczona w „Deutsche Zeitung;“ „Z księgi legend,“ historyczny fragment z dziejów starożytnego Rzymu, przetłomaczony na język węgierski. Tejże autorki powieść: „Walka o glebę,“ drukuje obecnie ilustrowany berliński dwutygodnik, wychodzący pod redakcyą Emila Dominika. Znana, znakomita powieść Kraszewskiego: „Herod baba,“ ukazała się świeżo w Stutgardzie u Engelhorna w „Allgemeine Romanbibliothek“ p. t „Ein heroisches Weib“ v. J. I. Kraszewski. „Posażna jedynaczka“ Fredry dostała się na scenę niemiecką p. t. „Seine einzige Tochter,“ deutsch von Wilhelm Lange. Wreszcie zaznaczamy, że jedno z najpoważniejszych berlińskich czasopism, „Deutsche Rundschau,“ zamieściło w ostatnim czasie umiejętne, krytyczne studyum o współczesnej naszej literaturze p n. „Polnische Belletristik in letzten zwanzig Jahren“ przez Ottona Hausnera, znanego posła i autora. Rozprawa, w mowie będąca, zawiera obok krytycznego poglądu dobry przekład niektórych najnowszych utworów literackich znanych naszych pisarzów.

Księgarnia L. A. Krzyżanowskiego w Krakowie ogłosiła przedpłatę na wyciąg fortepianowy z opery „Konrad Wallenrod“ Wł. Żeleńskiego z tekstem polskim i niemieckim. Przedpłaciciele otrzymają wydawnictwo to za 6 złr. później w księgarni kosztować będzie 10 złr.

„Towarzystwo sztuk pięknych“ we Florencyi ogłasza otworzenie wystawy na dniu 16 grudnia rb., mającej trwać do ostatniej niedzieli w marcu 1889 r. Dzieła, wchodzące w zakres sztuk pięknych, przyjmowane będą do d. 30 listopada rb. Bliższych szczegółów, dotyczących wystawy, dostarczy artystom redakcya warszawskiego „Echa muzycznego.“

Godność dyrektora warszawskiego konserwatoryum muzycznego ofiarował Zarząd Józefowi Wieniawskiemu, ale artysta przesłał odmowną odpowiedź.

W dorocznym konserwatoryum paryzkiego konkursie fortepianowym wzięło udział 43 panien, w skrzypcowym 12. Pierwszą nagrodę otrzymała 15 letnia wiolonistka, Julia Dantin; za kontrapunkt pozyskała pierwszą nagrodę panna Gauthier.

W Peszcie występowali w ubiegłym roku następujący artyści z następującem honoraryum: panie: Sapho Bellicioni dała 19 przedstawień po 500 franków, Borghi Mano 9 przedstawień po 1500 fr., Lehman 8 po 1200 fr., Ricetti 3 po 1000 fr., Marcello Sembrich Kochańska 7 po 4000 fr., Emma Turolla 7 po 1000 fr., Witt 6 po 1000 fr. Wreszcie Lasalle pobierał po 2000 fr. za jedno wystąpienie, a nasz Mierzwiński po 2400 fr.

W Neapolu wszystkie teatra z ukazu władzy oświetlane są lampionami elektrycznemi.

Obraz znanego polskiego artysty, Alfreda Kowalskiego, „Popas przed karczmą,“ nabyła na własność galerya drezdeńska.

Malarstwo polskie reprezentują świetnie na międzynarodowej malarskiej wystawie w Monachium utwory pań: Bilińskiej i Dulębianki i panów: Matejki, Siemiradzkiego, Czachórskiego, Ejsmonda, Kleczyńskiego, Kowalskiego, Kochanowskiego, Ryszkiewicza, Szernera i Szymanowskiego.

Dnia 23 lipca rb. odsłoniono w Loreze w Langwedocyi pomnik ojca Lacordaire'a, Dominikanina, sławnego kaznodziei francuzkiego, przyjaciela hr. Montalamberta, założyciela tamtejszego kolegium. Pomiędzy uczestnikami uroczystości odsłonięcia pomnika znajdowali się: Monsignor Fonteneau, arcybiskup z Albi, Rovère des Cabrières, biskup z Montpellier i Grimardias, biskup z Cahors. Uroczystości tej podniosłej prezydował arcybiskup z Albi, w którego dyecezyi leży śliczne miasteczko Loreze, u podnóża Czarnej Góry. Ze świeckich gości wymieniają między innymi ks. de Broglie z akademii francuzkiej. Uroczystość zakończył obiad na 60 osób. Postawiony pomnik przedstawia ojca Lacordaire'a w sukni dominikańskiej, opartego prawą ręką na ramieniu ucznia, lewą rękę podnoszącego w górę. Znawcy zaliczają pomnik ten do najwspanialszych dzieł sztuki rzeźbiarskiej.

Promyki.

Gdy Bóg w sercu, wszędzie nam dobrze i ze wszystkiego jestemy zadowoleni.

Ulegać znaczy więcej, niż znosić! Znosi się nieraz z przymusem, gdy uległość objawia się zewnętrzną słodyczą! Uległość jest to zupełne zdanie się na wszystko, co Bóg chce.

Kto znosi, ten zawsze czuje ciężar, kto ulega, ciężaru nie czuje. Szczęśliwa dusza uległa, Bóg jej do dzieł swych używa!

Im więcej skarbów ducha w piersi nasze zbierzemy, tem więcej pereł miłości rozsiać na niwie serc ludzkich zdołamy.

Twardą nieraz i ciernistą jest droga obowiązków, ale kwitną na niej najpiękniejsze róże zasługi i cnoty.

Redaktorka Teofila Radońska w Poznaniu. — Czcionkami i nakładem drukarni Dziennika poznańskiego.